Ner 14. Kraków 10 lipca 1869. Rok III.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycyja dla miasta Krakowa w księgarni J. Czecha hotel drezdeński.

Listy należy adresować: „do Administracyi Kaliny“ — w Krakowie.

Alfons Lamartine

SZKIC BIOGRAFICZNO-LITERACKI

przez

Lucyana Tomasza Rycharskiego.

(Ciąg dalszy).

W *Recueillement poétiques* (1839) występuje zwrot jego, jaki w przedmowie do *Jocelyna* oznaczył, daleko jaśniéj. Poeta cierpiał dawniéj własne indywidualne boleści, teraz serce jego cierpi na bole rodu ludzkiego. Jest on tu Magdaleną ukrzyżowanego człowieczeństwa. — To przekonanie o nieskończoném powołaniu spotęgowało w nim ambicję poety, o którym można powiedzieć, iż nietylko jak St. Just, swoją głowę, ale wszystkie swoje członki nosił jakoby monstrancję. — Był on teraz świętym, prorokiem, w którego się wcieliła przyszłość ludzkości. Mowy jego miewane w parlamencie, rzeczywiście całą publiczność zdumiewały. Jak w wierszach swoich, tak i tutaj przechodził on z kwestji wschodniéj do wojen krzyżowych, od wojen krzyżowych do rycerstwa, od rycerstwa do wieków średnich w ogóle, od średnich wieków do Jezusa Chrystusa, od Chrystusa do kolei żelaznéj i do pauperyzmu. O tém wszystkiém mówił on z pewną czelnością, którą tylko jego absolutna niewiadomość tłumaczy; był on we Francji z pomiędzy wszystkich, którzy się polityce poświęcali, może najmniéj wykształconym, ale zarazem najmniéj wiedział on o swéj nieumiejętności. Mimo to, liryczne jego wizje nie chybiały swego celu i wpływu; Lamartine dawał Francuzom to, czego najwięcéj potrzebowali, to jest owe *bonmots* ruchu politycznego. Jako dylletant we wszystkich poważnych kwestjach, romantyk i poeta, trzymał on się najpierw stronnictwa konserwatywnego; kiedy jednak rząd przez długie lata nic heroicznego nie zdziałał, przeszedł z uroczystém oświadczeniem: *La France s'ennuie!* do opozycji; przestraszony jednak nieestetycznym materjalizmem tegoż stronnictwa, zerwał zupełnie z oficjalną Francją i zawołał: *La France s'attriste!* Dowcipy te stawały się prędko popularnemi; Lamartine zaś znienawidzony przez pospolite mieszczaństwo (bourgeoisie), kokietował „lud“ w bluzach, który wszędzie więcéj rycerskości, więcéj odwagi zachował, niż kupcy (epi-

Rysunki Artura Grotgera.

z wystawy paryzkiéj 1867.



III. STRASZNA WRÓŻBA.

ciers) małych przedmieść; przemawiał on doń w delikatnych rękawiczkach i salonowemi frazesami, a motłoch cieszył się z arystokratycznego przewodnika, który mu równocześnie imponował i pochlebiał. Kiedy skończył, nie wiedziano wprawdzie nigdy dobrze, czegoby chciał: — ale za to jaki duch wiał z jego mowy!...

Teraz wszczęło się zewsząd owo bałwochwalstwo, które złotemu cielcowi tak zwanego ludu oltarze stawiało. Jeśli dawniéj heroom historji zbyteczne palono kadzidła, teraz myślano, iż należy uświęcić tę część ludzkości, któréj wszelkiéj brakowało fizjognomji. Pod ludem rozumiano bezwiedną masę, która najsurowszym instynktem obdarzona, albo tylko dośrodkową siłą zdarzeń parta, ślepą koleją losu wstąpiła w historję. Pomiędzy wszystkiemi fałszywemi religjami, które dotąd ludzkość tumaniły, ta jest najrzadszą, i właśnie ci mężowie, którzy absolutne prawo indywidualności aż do kaprysu spotęgowali, romantycy, wystąpili jako jéj prorocy. Lammenais był chrzcicielem nowéj religji, znaleźli się apostołowie w najodleglejszych okolicach, w staro-republikańskim stronnictwie, między socjalistami, w poezji i przemysłowym romansie. Lamartine zrobił swoje w *Historji Girondistów*, która w latach 1846 — 47 elektryzowała lud i wspólnie z dziełami Lammenais'go, Micheleta, Ludwika Blanca i t. d. zwiastowała zbliżającą się rewolucję. — Jeżeli będziemy badać to dzieło ze stanowiska historycznego, szczególnie umiejętnego, nigdy jego skutków nie pojmiemy. Ani pod względem faktów, ani pod względem djalektycznego rozwoju idei rewolucyjnych nie przedstawił on tu żadnych znacznych studjów. Lamartine wszystko ważniejsze opuszcza, a opowiada osobliwe romantyczne wypadki, jakie wończas w Paryżu się działy, wplatając wszędzie ładne szkice pojedyńczych osobistości. — Zaczyna on, jak w romansie: „Mirabeau właśnie umarł"; późniéj następuje charakterystyka Mirabeau, ta wymaga znów opowiedzenia koleji, które przechodził, te prowadzą do innych historji i t. d., aż wreszcie nić zdarzeń wiedzie go znów do wypadków, jakiemi chciał zacząć swoje opowiadanie. Lamartine opowiada, jak w historycznym romansie, stara się malować w żywych kolorach, porywać kontrastami, działać zmysłowo. Najwięcéj poświęca on swoje pióro kobietom. Opis pani Roland zajmuje więcéj miejsca, niż charakterystyka Robespierra lub Dantona. Idzie za nią do jéj marzeń dziecięcych, analizuje zmienne skłonności jéj serca, podsłuchuje jéj snów. Przy każdém wyrażeniu, przy każdym czynie swych bohaterów lubi on zastanawiać się nad ich przeszłemi i przyszłemi losy, szuka ich nawet w zmarszczkach ich czoła. Jeśli wreszcie przyjdzie do zagranicznych okoliczności, to nie opowiada politycznych stosunków państw, ale dworskie anegdoty. Żadna kochanka obcego króla nie ujdzie badawczemu oku historycznego romansopisarza; bal maskowy, na którym Gustaw III został zabity, przedstawia nam żywo przed oczy; z wieści, jakie się o prędkiéj śmierci Leopolda II rozszerzyły, żadnéj nie opuścił, słowem, gdzie tylko może odmalować coś romantycznego, tam powaga historji milknie. Zmianę mód, czapek i t. d. z wielką opisuje powagą.

Już Thiers starał się o to, aby ruchy uliczne w Paryżu 14 lipca, 5 października, 20 czerwca, 10 sierpnia uprzytomnić plastycznym opisem. Czytając go, czujemy się sami popychani, ściskani, unoszeni tłokiem motłochu, porywani prądem rozruchu; dzielimy jego bojaźń, jego wściekłość, jego namiętność. Ale Thiers zostaje zawsze w głównym toku ruchu; Lamartine idzie daléj; wciska się do sypialni demagogów, wié, o czém ich żony ze sobą rozmawiają, zagląda do głębi ich serc i czyta w nich monologi, jakie w chwilach ucisku prowadzą ze sobą, lub nawet prowadziéby mogły. Kamil Desmoulins wpada tylko na chwilkę do domu, aby surdut przewdziać; ktośby mógł myśleć, że nikt tego nie spostrzeże; ale nie! Lamartine stoi na czatach, chwyta prędko jego rękę i liczy bicia tętna. Robespierre przez całą noc przechadza się po swym pokoju, wszystko uśpione, nikt go nie może słyszeć; tymczasem Lamartine ukryty pod łóżkiem, rysuje każdy jego gest i minę i zapisuje je w aktach wieczności.

(Dalszy ciąg nastąpi).

USPRAWIEDLIWIENIE.

Com ja winien, że jak ptak przed burzą
Niespokojnie myśl się ma ugania —
I widząca mogił, zgliszczy dużo,
Straszne niebu czyni zapytania?
I gdy śpiewać chcę - krzyk z piersi leci,
Chcę się rozśmiać— a łza w oczach świeci.

Nieraz siedzę na łące zielonéj,
Patrzę w błękit majowy przez drzewa,
Poczynę marzyć: – wtem pastuch schylony
Jakąś smutną piosenkę zaśpiewa,
I już dusza z marzenia zbudzona
Ciemnym smutkom rzuca się w ramiona.

W uszach dzwoni mi kajdan niewoli,
I męczeńskie dzieje cierniem gniotę,
Jęki słyszę, więc serce mnie boli,
I w rozpaczy padam pod Golgotę,
A z ust skarga się wyrywa cicha,
Że ta nasza dola taka licha!

Widzę gady co się w grobach mnożą,
I kalają męczenników czoła,
Więc pieśń moja o pioruny woła,
W sprawiedliwość nieraz wątpi bożą,

Ni przed krzyżem ma pokorę mniszą,
Kędy zamiast zbawcy — węże wiszą.

Com ja winien, że patrząc w całuny,
Tak ponure pieśni rzucam z siebie,
Że nie zorza, lecz pożarów łuny,
Pieśniom moim przyświeca na niebie?
I szarpane mając serce męką —
Zamiast głaskać, targam struny ręką.

Pieśń obdarta, bosa i tułacza
Z świeżych gajów ucieka w ruiny,
Głos słowika — zmienił się w puchacza
I narzeka — to nie z mojéj winy.
Com ja winien, że gdzie me siedlisko
Smutek niańką — mogiła kołyską?

M. B.

FAKTOR.

Ramotka z życia prowincjonalnego.

przez **Wł. Ładę.**

(Ciąg dalszy).

Pan Deodat lubił cygara, choć w domu dla oszczędności nie palił. Miał wprawdzie w szafie pudełko tak zwanych *„ulicznikosów“*, miał i paczkę tytoniu za szóstkę, ale tylko dla gości. Za to w sąsiedztwie wciągał ile tylko mógł dymu w swoje płuca, a ogryzki cygar jeśli nikt nie zważał, skrzętnie zgromadzał do kieszeni. Teraz zapaliwszy przepyszne „regalia“ zaciągnął się z apetytem i usadowiwszy wygodnie chudą swoją figurę na kanapie, zapytał:

— Cóż, szanowny sąsiedzie! jakże gospodarstwo?

— Nieźle, nawet coraz lepiéj.

— Alboż było źle?

— Przez kilka lat nie mogłem sobie dać rady. Zastałem trzypolówkę, budynki zaniedbane . . . Feliks dzielnie mi dopomógł.

— Felunio? a to jakim sposobem?

— Poradził mi ośmiopolowy płodozmian. Dwa lata dopiero jak go zaprowadziłem, a już skutek widoczny.

— I to Felunio poradził?

— Nietylko że poradził, ale sam ułożył rotację!

— Więc to agronom?

— I jaki! praktyki mało, ale teorja jest i pomysły znakomite.

— To wybornie! — zawołał pan Deodat.

— Jakto? — zapytał pan Kozłowicz, nie rozumiejąc wykrzyknika.

— Tak . . . hm . . . tego . . . mocno mnie cieszy . . . bo przyznasz pan, że w takim razie najstosowniéj dla Felunia byłoby zostać gospodarzem.

— To pewna, ale zkąd weźmie pieniędzy?

— No, a gdyby się bogato ożenił?

— Jego narzeczona nie ma nic.

— Tak? — spytał przeciągle pan Deodat, jakby pierwszy raz słyszał o tém.

W tejże chwili zajechała bryczka przed ganek i tylekroć omówiony Felunio wszedł do pokoju.

— Witam, witam kochanego, szanownego pana Feliksa! — rzekł pan Deodat, nadstawiając buzię do pocałunku.

— Zkąd taki zaszczyt? — pomyślał Feliks. — Zwykle ograniczał się na podaniu ręki . . .

— Cóż szanowny pan? smutny jakoś . . .

— Nic dziwnego, przed kilkoma godzinami opuścił narzeczoną — rzekł uśmiechając się pan Kozłowicz i witając serdecznie guwernera.

— Jadwisia zasyła państwu ukłony — rzekł Feliks, ściskając podaną rękę.

Mężczyzni siedli, Felunio zapalił cygaro, chwila milczenia. Przerwał je pan Deodat.

— No, szanowny panie, jakże z tém? — zapytał, zwracając się do Feliksa.

— Z czém? — odparł zdziwiony Feliks.

— No, z pańską narzeczoną . . .

— Nierorumiem pana.

— No . . . czy będzie co z tego?

Feliks wytrzeszczył oczy.

— Nierozumiem pana—powtórzył poważnie i dobitnie.

— Widzisz pan, ja tak z przyjaźni pytam się. Pan już tak dawno jesteś narzeczonym, a nie kończysz . . . . Czemu pan nie kończysz? . . .

— Pan, pan mnie pytasz o to? — rzekl Felunio żywo i z oburzeniem. — Któż może lepiéj od pana o tém wiedzieć? Minęły czasy sielanek; chatka i strumyk, a przytém jéj serce, o! to za mało . . . takim baśniom nawet dzieci już wierzyć nie chcą . . . Człowiek z charakterem zacnym i prawym nie wprzódy poda przy ołtarzu rękę kochance, aż gdy będzie mógł jéj powiedzieć: „Zapewniłem ci byt wolny od trosk i niedostatku.“ Mogęż więc żenić się? ja, co dotąd jeszcze kąta własnego nie mam? Czy słyszałeś pan kiedy o guwernerze żonatym? . . .

— Ale tym sposobem ten związek długo jeszcze w zawieszeniu być może.

— Któż to wié? Silna wola wiele przeszkód zwycięża . . .

— Bo żebyż choć panna Jadwiga coś. coś posiadała, choćby z parę tysiączków — cedził powoli pan Deodat, patrząc z pod oka na zżymającego się Felunia. — Parę tysiączków, przy umiejętnym obrocie . . . byłoby zawsze coś . . .

Feliks milczał.

— Widzisz, szanowny panie — ciągnął daléj pan Deodat, biorąc milczenie za dobry znak — panna Jadwiga jest bardzo przystojna, ukształcona, miła osoba, ale . . .

— Ale? . . .

— Hm, przykro to powiedzieć . . . . pan nie weźmiesz mi za złe szczerości . . . która . . . którą . . . ze szczerego serca . . . z życzliwości . . .

— Nie wezmę, nie wezmę, kończ pan! . . . . — przerwał niecierpliwie Felunio.

— Oto widzisz pan . . . przy piękności i wszystkich przymiotach, hm . . . tego . . . panna Jadwiga, to nie jest żona dla pana . . .

Feliks jak oparzony zerwał się z krzesła.

— Miałeś pan nie wziąść za złe! . . . — krzyknął pan Deodat, który jeszcze mniéj posiadał cywilnéj odwagi, niż wasz uniżony sługa i autor.

Mów pan! . . . dla czego? . . . . dla czego?! . . . — zawołał Feliks drżącym z przytłumionego gniewu głosem.

— Ależ panie! . . . ja nie chciałem ubliżyć ani panu, ani pańskiéj narzeczonéj . . . no, siadaj pan, wytłumaczę się. Panna Jadwiga jest aniołem, ale aniołem . . . hm! . . . bez majątku. Pan, człowiek znakomitych zdolności, trawisz najpiękniejsze lata na pracy jałowéj i niewdzięcznéj. Mając zaś majątek, oddałbyś się pan swobodnie swoim badaniom historycznym i stanąłbyś wkrótce obok Lelewela! Jesteś pan, jak słyszę, teoretycznie wykształconym agronomem . . . . cóż to za pole otworzyłoby się panu! Płodozmian, siewniki . . . żniwiarki . . . o! ja to rozumiem . . . postęp . . . nauka . . . światło cywilizacji . . .

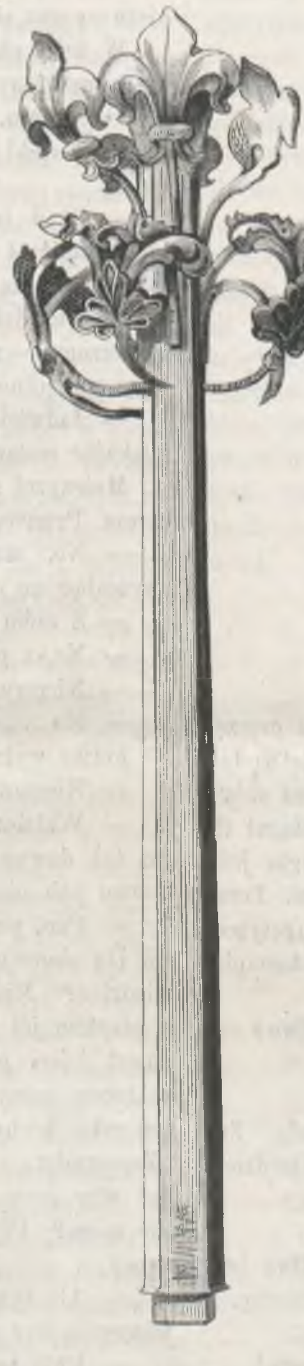
— Do czegóż to wszystko zmierza? — przerwał niecierpliwie Feliks.

— Do tego, szanowny panie, że mojem zdaniem, trzeba praktycznie patrzeć na rzeczy. Panu potrzeba żony, choćby nieco starszéj, nieco mniéj ładnéj niż panna Jadwiga, ale co najmniéj z dwoma wsiami . . .

Felunio wybuchnął pustym śmiechem, a pan Kozłowicz zawtórował, lubo nie tak głośno.

— Śmiejcie się panowie, śmiejcie — rzekł pan Deodat — a ja od mojego nie odstąpię.

— Do tego więc zmierzały owe pytania i zarzuty? — spytał wreszcie pan Kozłowicz.



BERŁO znalezione w trumnie Kazimierza Wielkiego (według fotogr. p. Rzewuskiego).

— Tak, tak, do tego. Pan śmiejesz się, panie Feliksie, a ja powiadam, że gdy słowa moje głębiéj na uwagę weźmiesz, za kilka dni inaczéj mówić będziesz. — Pieniądze panie, pieniądze — to dźwignia społeczeństwa. Oto przeczytaj pan i powiedz . . .

— I pan Deodat znów wyciągnął zapisany arkusz z kieszeni, ale lokaj uwolnił Felunia od męczarni, oznajmiając, że dano do stołu.

Pomimo, że kolacja u pani Teci była najzupełniejszą antytezą artykułu czwartego ustawy, pan Deodat, powtarzając w duchu przysłowie: „Darowanemu koniowi“ i t. d., jadł i pił, ile sił starczyło. Pani Zofja, jako muzykalna osoba, więcéj znajomości taktu dowiodła, bo poprzestała na buleczce z masłem, odmawiając stanowczo wszelkich potraw.

— Mięso szkodzi mi na wieczór — odparła na nalegania gospodyni.

Mógłbym tutaj znakomitą wypalić tyradę o wrodzonym talencie dyplomatycznym pań naszych. Mógłbym wykazać, jak głęboko pomyślanym był zamiar postu pani Zofii, mógłbym tę tyradę zakończyć wykrzyknikiem, jak np. „Oto co czynią z nami kobiety!“ Albo dowiódłbym czarno na białém, że pan małżonek znajduje się pod ślicznichnym, drobniutkim pantofelkiem ubóstwianéj żoneczki, wtedy właśnie, kiedy sądzi, że jest samowładnym panem domu. Dowiódłbym także, że te panie, które napozór we wszystkiem mężom ulegają, najczęściéj jednak swoją przeprowadzą wolę. Dowiódłbym wreszcie na tysiącach faktów, że zasoby dyplomatyczne naszych ukochanych małżonek są niewyczerpane, że za ich pomocą życie całe jesteśmy za nos wodzeni nie wiedząc o tém; że Benedix słusznie powiedział: „Mąż jest panem domu, a żona panią w domu.“ Tego wszystkiego i wielu innych rzeczy dowiódłbym, na mocy argumentu istniejącego w dobrowolnym poście pani Zofii z Koronieckich Cezarkowskiéj.

Ot, zagadałem się, a tymczasem pp. Cezarkowscy wyjechali z Leszczynowa. Zaraz podążę za niemi, ale przedtem muszę jeszcze chwilę zabawić u pp. Kozłowicz, bo Felunio, wzburzony i gniewny, opowiada właśnie pani Teci rozmowę swoją z panem Deodatem.

— A to dziwna rzecz, toż samo prawie mówiła do

mnie pani Zofja — rzekła pani Kozłowicz wysłuchawszy sprawozdania.

— To samo? . . .

— Prawie co do słowa. Po tysiącznych pochwałach dla pana, zaczęła wzdychając rozprawiać szeroko, że piękność nie jest warunkiem szczęścia, że nawet ukształcenie bez majątku jest tylko przeszkodą, że pan powinien szukać żony posażnéj i t. d.

— W tém coś jest — zauważył Feliks.

— Zbyt raptowna zmiana frontu — dodał pan Kozłowicz. — Trzymaj się ostro, Feluniu! bo atak rychło nastąpi.

— Nie lękajcie się, moi państwo — odparł Feliks. — Nie widzę jasno czegobym miał się obawiać, a z doświadczenia wiem jak unikać zasadzki.

Szkic humorystyczny W. S.
Młodzież rzeszowskiego złota w ogrodzie Strzeleckim.



Ti — garson! — pół porcje lody!!

A teraz, dopełniwszy obowiązku sumiennego powieściopisarza, który wszelkie wypadki i wypadeczki skrupulatnie notować powinien, gonię za bryczką państwa Deodatów. Nie trudne to zadanie, bo pan Deodat dla oszczędzania koni jedzie zwykle stępą, a tylko na bardzo równéj i gładkiéj drodze truchtu użyć pozwala. Dopadam bryczki w samą porę, bo trafiam na interesującą rozmowę, prowadzoną wbrew ustawie po francuzku, aby Iwanko nie rozumiał.

— Doprawdy nie rozumiem, moja Zosiu, dla czego nic nie jadłaś.

— A ja nie rozumiem, jak mogłeś łamać artykuł czwarty. Jadłeś za trzech.

— Powiedz raczéj za czterech. Będzie to w harmonii z artykułem czwartym.

— Ale jakże można! . . . Powiedzą że u siebie skąpimy, a u innych . . .

— Co mi do tego! Byłbym głupi nie jeść, kiedy dają.

— Nie masz poczucia dystynkcji! . . .

— Moja kochana, — odparł poważnie mąż — zapominasz się trochę. Ja, choćbym jadł za dziesięciu, zawsze jestem Deodat Cezarkowski! O tobie, choćbyś dla dystynkcji samém powietrzem żyła, zawsze mówić będą: „To tylko szlachcianeczka z Koronieckich! Mąż podniósł ją do dzisiejszego stanowiska.“

Pani Zofia przygryzła usta. Nie pierwszy to raz pan Deodat przypominał jéj pochodzenie, o jeden szczebel niżéj zamieszczone w herbarzu Paprockiego. Zabawne to było patrzeć na tę czułą parę; wyznaniem tylko i rasą różniła się od pierwszego lepszego Icka lub Josiela, a przy każdéj sposobności dęła w arystokratyczną trąbę starożytnego rodu.

Po chwili przykrego milczenia, p. Deodat odezwał się:

— Będzie kłopot z Feliksem.

— Albo co? — podchwyciła żona — zapominając urazy dla interesu.

— Twardo się trzyma, mało mi oczu nie wydrapał.

— Czy mówiłeś wyraźnie?

— Za kogóż mnie masz? — odparł pogardliwie pan Deodat. — Czy to ja warjat, czy co? Przecież na wiatr obiecywać nie mogę. Muszę wprzód wybadać Lubkowskiego.

— Cóżeś więc zrobił?

— Wymacałem go z lekka i ostrożnie. Odpowiedział deklamacjami . . . . ale ja znam się na tém . . . oho! starego wróbla na plewy . . .

— Ja Teci także napomknęłam . . .

— W każdym razie sam z nim traktować więcéj nie będę. Jak trafię na zły humor, gotów wyzwać, albo i . . . na co mi tego? Poszlę Herszka.

— Prawda, na co ci tego . . .

— Ale nie łówmy ryb przed siecią. Może to wszystko próżne zabiegi . . .

— Zobaczysz, co powie Lubkowski.

— Jutro jadę do niego. Mój Boże! — zakończył pan Deodat wzdychając pobożnie— jak to ciężko człowiekowi grosz uczciwie zarobić!

Temu ostatniemu zdaniu nie zaprzeczycie zapewne, moje miłe czytelniczki. Ale pan Deodat bardzo łatwo zarabiał grosze . . .

Nazajutrz, po wczesném śniadaniu, składającém się z wyżéj wspomnianéj *pędygi*, wyjechał pan Deodat na cały dzień z domu. Zwykłym w takim razie trybem postępowania, odebrał od żony wszystkie pieniądze, zostawiwszy tylko pięćdziesiąt centów na nieprzewidziane wydatki; pozamykał własnoręcznie szafy i szuflady, a siadając na wózek, mówił jeszcze do żony:

— Tylko żadnych zbytków, Zosiu! proszę pamiętać o tém.

Choć wiem, że mnie Bolesławita ukamienuje, twierdzę jednak, że Dante pobłądził, mieszcząc skąpców z marnotrawcami w jedném kole piekielném.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KILKA CHARAKTERYSTYCZNYCH RYSÓW
Z ŻYCIA
MARJI STUART.

(Rzecz oparta na najnowszych badaniach historycznych)

przez *Edwarda Lubowskiego.*

(Ciąg dalszy).

Massa narodu mściła się już teraz na Marji puszczaniem w obieg różnych satyrycznych pisemek i karykatur. Między innemi na jednéj przedstawiona była królowa tańcząca walca z Darnlejem przy dźwiękach lutni Riccia, podczas gdy Craig, ksiądz protestancki patrzał z kąta ze złowieszczym uśmiechem na spadającą z jéj głowy koronę. Marja starała się u Elżbiety angielskiéj o potwierdzenie tego małżeństwa. Elżbietę oburzała myśl, że nie chcąc sama wyjść za mąż, będzie musiała oddać tron swój potomkom nienawistnéj sobie rywalki. Wolał jednak Darnleja, aniżeli jednego z potężnych książąt Europy. Wolała i z tego względu, że Darnlej jako król był wyborném źródłem zamieszek w Szkocji protestanckiéj, w Szkocji, w któréj magnaci uważali za ubliżenie swéj godności, podlegać równemu sobie co do rodu. W téj „dziewicy królowéj" znać było córę złowieszczego Henryka VIII, znać było sekciarkę obdarzoną ową żelazną wolą. Prawda, że ta wola żelazna, ta stałość w wytkniętych zamiarach oświecona jasnością rodzinną, była cechą jéj politycznego gieniuszu, nie mogącego dopuścić dziedzictwa Marji Stuart, jako wprowadzającego w swojém następstwie do Anglii Gwizjuszów i Filipa II, czyli fanatyczny ówczesny duch katolicyzmu. Riccio popierający to małżeństwo, wytknął zarazem program polityczny, polegający na zawarciu ścisłych związków z Francją, Rzymem, Hiszpanią, a zarazem na podminowaniu protestantyzmu w Szkocji. Zgodziła się na ten plan Marja, niechcąca zgody z przewódcami reformy, z Murrayem i zbuntowanymi lordami. Posunęła się nawet do zawiązania stosunków z katolikami Anglii. Nie długo trwała miłość jéj dla Darnleja, szybko zapalna i szybko gasnąca. Zawiodła się na młodzieńcu miękkiego i zwykłego charakteru, nie mogącym sprostać Ricciowi, błyszczącemu wszelkiemi darami ukształconego umysłu. Darnlej wściekły z zazdrości, puścił cugle wszystkim haniebnym nałogom i namiętnościom, obarczając gorzkiemi wyrzutami królowę często w obec całego dworu. Skorzystali z tego niechętni oddawna Ricciowi panowie, Morton i Duglas na ich czele. Utworzyło się sprzysiężenie nie obce Randolfowi i hrabiemu Redford, ambasadorom Anglii. Murray i wygnańcy zawiadomieni, zebrali się na granicach Szkocji. Hrabia Lennox, Rutwen, Duglas, Lindsay, Kerr, stali na czele; porozumieli się oraz z Darnlejem. W sali przytykającéj do budoaru królowéj orzekli jednomyślnie śmierć faworyta. Knox pobłogosławił ich w tém jak je zwał „świętém przedsięwzięciu," za które brał na się odpowiedzialność przed Bogiem.

Spisek dojrzał 9 marca 1566 r. około szóstéj godziny wieczorem. Spiskowi w liczbie trzechset wcisnęli się o zmroku w głębie pałacu. Król właśnie co obiadował z Mortonem, Lindsayem i Rutwenem. Pokój jego wzniesiony był ponad budoarem Marji w tym samym pawilonie. Posłał on z zapytaniem, kto jest razem z królową. Odpowiedziano mu, że królowa obiaduje razem z hrabiną D'Argill, z komendantem zamku i z Ricciem. Wtedy król zeszedł po skrytych schodkach, podczas gdy Morton i Lindsay rozstawili najodważniejszych na głównych wschodach, usuwając zarazem kilku przyjaciół królowéj.

Król wszedł do budoaru. Riccio strojny w jedwabie siedział z głową nakrytą. Królowa zapytała: „Czyś już po obiedzie?" Król schylił się poza jéj krzesłem i zamiast odpowiedzieć ucałował jéj czoło, wtrącając się zarazem do rozmowy. Niedługo pod kotarą ukazała się blada twarz Rutwena. Uzbrojony był od stóp do głowy. Towarzyszyii mu Duglas, Kerr i dwóch innych. W téj chwili, gdy Morton i Lindsay otwierali z trzaskiem drzwi sypialni, Rutwen pieniący się z gniewu, rzucił się naprzód z taką gwałtownością, że aż podłoga zatrzeszczała. Królowa krzyknęła, pytając: „Dla czego tu wchodzisz?" „Mam interes do tego gagatka," odrzekł głuchym tonem wskazując na Riccia. — „Jeśli Dawid jest winnym — odparła królowa — oddam go sama w ręce sprawiedliwości." Zbladły z przerażenia Riccio, cofnął się w kąt komnaty. Rutwen pomknął za nim. Nieszczęśliwy uczepił się sukni królowéj wołając: „Zginę! sprawiedliwości! Królowo ratuj!" Marja usiłowała powstrzymać zabójców. Wtedy Rutwen i Lindsay pogrozili jéj sztyletem. Kerr nawet przyłożył pistolet do jéj piersi, lecz Marja zawołała odważnie: „Strzelaj, jeżeli nie szanujesz dziecięcia, które noszę w łonie." Tymczasem w zamięszaniu wywrócono stół — królowa broniła się jednak ciągle. Darnlej dopiero opasawszy ją ramiony, trzymał ją tak długo, dopóki Duglas nie uderzył faworyta sztyletem w plecy.

Riccio błagał, płakał, czepiał się mebli, lecz nic nie pomogło; wywleczonego do sali tronowéj przeszyto 55 razami. Król zaledwie zdołał powstrzymać królowę zrywającą się nieszczęśliwemu na ratunek. Wkrótce powrócił Rutwen, kazał sobie nalać wina w ten sam puhar, z którego co dopiero pił Riccio. Królowa nie wierzyła jeszcze w śmierć Riccia, lecz gdy jéj o tém doniósł jeden ze służbowych, krzyknęła zwracając się do króla: „Precz ze łzami, teraz czas zemsty! Dotąd nie będę miała spokoju, dopóki twoje serce nie będzie tak zrozpaczone, jak obecnie moje." Wszyscy przyjaciele królowéj zemknęli prócz Botwela, który się wśliznął do zamkowego ogrodu. W mieście uderzono w dzwony. Mieszkańcy Edinburga zebrali się na około zamku. Spiskowi zawiadomili ich (przymuszając

królowę do milczenia), że tylko zabito faworyta sprzysięgającego się z papieżem przeciw reformie. Darnlej nawet otworzył okno, zapewniwszy lud, że wszystko stało się z rozkazu królowéj.

Marję pozostawiono w sypialni; przez noc całą w najwyższéj rozpaczy, nie dawszy jéj nawet służebnych. Za kilka miesięcy miała zostać matką, a wzruszenia téj nocy tak się wryły głęboko w jéj duszę, że syn jéj późniejszy Jakób I. nie mógł się nigdy bez drzenia patrzeć na ostrze miecza.

Po tym okropnym czynie, wygnani panowie znów się zjawili, między innymi Murray, którego królowa przyjęła z pozorną radością. „Ach! zawołała, gdybyś Ty był przy mnie, niepostąpionoby tak ze mną!“ I wskazała mu podłogę oplamioną krwią Riccia (ślady jéj istnieją do dziś dnia). Zrozumiała królowa niebezpieczeństwo sytuacji, dlatego mimo swéj boleści i choroby uciekła się do obłudy i udawania.

Wiedząc o zamiarze spiskowych zamknięcia jéj w twierdzy, a oddania rządów Darnlejowi, przezwyciężyła wstręt, starając się ich uglaskać. W tym celu sama zaproponowała uchwalenie bilu bezpieczeństwa dla wszystkich spiskowców; Darnlejowi zaś poczęła okazywać dawną miłość zapytując go czy z nią nie pojedzie do Dunbar. Uszczęśliwiony i szalenie w niéj rozkochany małżonek, zgadza się na wszystko, opuszczając temsamém sprawę sprzysiężonych, których był naczelnikiem. Równocześnie skarzy się Marya listownie przed Elżbietą żądającą przebaczenia dla winnych, i rusza z 8000-nym hufcem na Edynburg. Całą swą zemstę obraca przeciw mordercom Riccia. Dla tém większego shańbienia sprzysiężonych, wymogła na królu deklarację przylepioną na wszystkich rogach ulic, deklarację potępiającą spisek i spiskowych. Kilku z nich ścięto; — Rutwen Duglas i Morton winni byli swoje ocalenie tylko szybkości rumaków.

W ten sposób zemściwszy się na mordercach ulubieńca, kazała ciało jego pochować w grobie opactwa Holyrood, w przybytku zmarłych królów. To uczucie dla nieszczęśliwego lutnisty, było ze strony królowéj Szkockiéj nowym czynem nieroztropności.

(Ciąg dalszy nastąpi).

POCHOWANIE ZWŁOK KAZIMIERZA W.

O godzinie 8-éj rano orszak z kościoła P. Marji wyruszył na Wawel.

Naród przypomniał sobie wiekowe dzieje, i zbudzony głosem wdzięczności uszanował popioły swojego króla. — Znikły stany i różnice, wszyscy razem jak jeden, szli w żałobnéj powadze na Zamek królewski, gdzie po solennem nabożeństwie prochy Kazimierza Wielkiego złożono w metalowéj trumnie do dawnego grobowca.

α. δ. **Kronika.** — *Extract dzienników krakowskich — jako lek rozgrzewający krew polityczną. — „Djabeł“ w Krakowie bierze niektórych w opiekę. — Buda i Niemcy prorokami.*

Nikt, zdaje mi się, nie powié, aby Kraków za błogosławionéj naszéj pamięci chorował kiedy na zbytek wesołości. Każdy wygląda jakby znudzony śmiertelnie, — a dorodna młodzież tutejsza, choć ją Ziembiński i Heurteux poczciwie karmi, z pierwszego wejrzenia podobna wielce do wiecznie głodnych emigrantów. Gdyby więc nie ogród Strzelecki, Aleksandrowa i od czasu do czasu amatorski teatr jaki — musielibyśmy przypuścić, że Bóg dał człowiekowi życie na to tylko, aby szachrował na giełdzie. Cóż więc dziwnego, że Kraków jak może radzi sobie aby nie dostał czarnéj melancholji lub nie stetryczał do reszty — żałować tylko wypada; że majówki nie wieczne, fantowe loterje nie zbyt nęcące, a muzykę z ogrodu spędza prawie zawsze zachmurzone niebo. — Mimo to przecież ludek krakowski daje sobie radę, i jak to mówią, jak umie Boga chwali. — W ostatnich czasach dwa dzienniki polemiką i protestami tak potrafiły zacietrzewić przeciwne sobie obozy, że politycy miejscowi, zapomniawszy zupełnie łamać sobie głowy nad tém co myśli Napoleon lub Bismark, o wypadkach europejskich wnosili jedynie z forpocztowych wystrzałów, jakiemi dwie Redakcje starały się upolować jak najprzyzwoitszą liczbę prenumeratorów. Boć w gruncie rzeczy nie jest to wcale naród krwiożerczy ci Redaktorowie, wcale przyzwoici ludzie, że się tam czasem przemówią w Gazecie brać im za złe nie można, bo zwykle kłócą się o to, w co przynajmniéj jeden z nich nie wierzy. Jednakże naród który myśli że to na serjo kanonada i że nie obejdzie się bez trupów, w prostocie ducha wierzy poczciwie że to o idee walka *anilinu z alizarynem!* Nie wiem na pewno czy umyślnie posłano po „Djabła“, czy „Djabeł“ sam domyślił się że jest potrzebny, cokolwiek bądź, piekło wysłało swojego delegata, który samą wieścią pojawienia się w Krakowie, zażegnał tę burzę bez piorunów i błyskawic. A jakkolwiek duch to ciemności i strąconej pychy — tryumfalny wjazd swój do Krakowa, odbył wcale przyzwoicie i skromnie. Nic a nic niepodobny do lwowskich swoich kuzynków, schował ostre pazurki i tylko z lekka musnął niektórych. Widać przecież że to frant djabeł, wychowany przez zdolnych guwernerów piekielnego państwa, i że to nie pierwsza jego wizyta na krakowskim bruku.

Zapewne polityką zajęte, nie miałyście czasu piękne czytelniczki zwrócić uwagi na budę wystawioną obok sukiennic, która mieści w sobie *eine schöne dame*, proro-

kującą każdemu za kilka kreizarów. Rzecz to ciekawa jak Niemcy obfitują w apostołów i jak łatwo u nich o dar wieszczenia, a ciekawsza jeszcze, że nasze złotówki tak dobry kurs mają za granicą, gdy tymczasem u nas za poklejoną szóstkę nic prawie dostać nie można. Najciekawszem jednakże z tego wszystkiego jest to, że każdy taki przybłęda zaopatrzywszy pusty swój worek w polskie złotówki, wyjeżdża do swojego *Faterlandu* z tém przekonaniem żeśmy barbarzyńcy, nie wiele różniący się od dzikiego narodu. Sam nawet byłem świadkiem, jak jeden z właścicieli menażerji, dowodził zamaszyście, że Kraków jest o pięć przynajmniéj wieków zacofany w cywilizacji. Jakto, mówił Niemiec, na lada koncert, na lada głupstwo, np. kiedy taka Patti przyjechała, pełno ich (Polaków) było w teatrze, a kiedy im rzecz tak ciekawą jak karmienie drapieżnych zwierząt pokazują, to pustki na przedstawieniu! — No i naród *taki* chce swojéj niepodległości!!!

Na trumnę dla Kazimierza Wielkiego pan Jan Pffeifer złożył złr. 1.

*** *Gramatyka języka polskiego, dla użytku szkół elementarnych p. Władysława Lercla. — Nakład J. M. Himmelblaua.*

Autor opierając się na gramatyce *Małeckiego*, zestawił główne zasady naszego języka i podał je w formie przystępnéj dla poczynających się uczyć. — Książeczka ta jako podręczna, może się przydać bardzo, tym zwlaszcza, dla których cena gramatyki *Małeckiego* jest za wysoką. Dla tego radzibyśmy, aby gramatyka p. *Lercla* opierająca się na zasadach języka naszego, przyjętych przez cały niemal świat piszący, znalazła się we wszystkich rękach.

Korespondencja „Kaliny."

P. **K. Ch.** — Prosimy o nadesłanie przyobiecanych wierszyków — redakcja rękopismów nie zwraca, chyba że autor zastrzeże to wyraźnie.

P. **Mił. Ro.** — Prosimy udać się w téj kwestji do dzienników politycznych.

Pani **S. B.** — W swoim czasie i my dotkniemy téj kwestji — co do pracy w tym względzie prosiliśmy już o artykuł wyczerpujący.

Kierujący Redakcją Aleksander Dawidowicz.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

W drukarni „Czasu" W. Kirchmayera. Rządzca Drukarni *Józef Łakociński.*